

ODWROT

„Już nie dni, lecz godziny dzielą nas od chwili kiedy stanemy na ziemi polskiej... Kroczymy zbrojnie, by ramię przy ramieniu z bohaterką Armią Czerwoną własnym czynem zbrojnym bić i wypędzić okupanta z ziemi polskiej...”

Tegoż 20 lipca 1944 roku, kiedy Rada Wojenna 1 Armii Polskiej w ZSSR wydaje ten odświeżony rozkaz, artylerzyści polscy wspierają już od trzech dni jednostki 69 armii radzieckiej rozrywającej obronę niemiecką na podejściach do Bugu. O godzinie 20 rozpoczynają przeprowadzać się na jeszcze niewielkie, jeszcze krwawo wywalczane przez piechurów generała Kołpakczy przy- czółek na zachodnim brzegu tej rzeki w pobliżu Dorohuska.

Stąd, spod Dorohuska do Chełma jest 25 kilometrów. Chełm zostanie wyzwolony 22 lipca.

Lecz do Poznania jest lotem ptaka 400 kilometrów. To w skali szlaków bitewnych bardzo wiele. Stolicę Wielkopolski oddzieli od miasta Manifestu Lipcowego pół roku walk. Co najmniej 400 000 radzieckich i polskich mogił żołnierskich.

Przeglądam zdjęcia z tamtych pogodnych dni lipca. Oto żołnierze 69 armii na przedpolach Chełma. Oto gwardziści 8 armii walczący (w dwa dni później) o Lublin. I tu z tych uwiecznionych fotografiami żołnierzy dojdzie jeszcze do Poznania?

★

Ale oto inne zdjęcie wykonane 21 lipca 1944 roku. Na nim skrzydło auli poznańskiego Colegium Minus przepasane potężnym transparentem z równie potężnym napisem: „Unser Fuehrer unser Leben (Nasz wódz naszym życiem). Przed wejściem tłoczy się gromada heilujących Niemców. Wśród nich kroczy uśmiechnięty gauleiter Greiser w towarzystwie generała Petzela i szefa SS i policji na Wartheagu Reinefartha. Kolonizatorska niemieczyna, ludzka się, że walki toczą się jeszcze na wschód od Lwowa, wierzy, że skoro poprzedniego dnia opatrność uratowała Hitlera od zamachu, on wygra wojnę i Wielkopolska pozostanie na zawsze Wartheagu. I Greiser zyskuje sobie szczególny poklask ziomków, kiedy oświadcza:

„Twierdzę, że gdyby nie talent me za stanu i strategię Adolfa Hitlera, nie istniałby żaden Reichsgau Wartheland...”

W 1934 roku (wg danych niemieckich) mieszkało w ćwierćmilionowym Poznaniu 4.387 Niemców. Część z nich po „wyzwoleniu przez Adolfa Hitlera” poszła na fronty dalszych podbojów. Ale w 1944 roku jest ich sto tysięcy. Sto tysięcy ścigało tu „budować strony ojczyste”, realizo-

wać antypolskie posłannictwo zdobywców „niemieckiego wschodu” i dawać bezkarnie upust najbardziej choćby sadystycznym ambicjom.

W Niemczech zamach na Hitlera wywoła lawinę aresztowań. Nie tylko zamieszanych w spisek „odgórnej opozycji”. Także tych, którzy zdradzą się „niepotępieniem” Stauffenberga. W Poznaniu nie będzie ani jednej „sprawy 20 lipca”. Gestapo nie znajdzie ani jednego „zdrajcy”.

Natomiast już w te dni lipca, mimo że Hitler ocalał, zacznie się ucieczka kolonizatorów.

★

Do Polaków (mieszka ich w Poznaniu wciąż powyżej 200 tysięcy), najważniejsze, najbardziej wy-czekiwane przez nich wieści, docierają tylko pośrednią drogą. Najczęściej za pośrednictwem organu NSDAP „Ostdeutscher Beobachter”. Dopiero 23 lipca przynosi on w komunikacie Kwatery Głównej Hitlera wiadomość o sforsowaniu Bugu. Co prawda jest jeszcze ubrana w zwyczajną terminologię.

„Sowieci uzyskali dalsze postępy. Nad Górnym Bugiem, bolszewicy, którzy prze-darli się na zachodni brzeg, zostali w toku ciężkich walk wyparci...”

Ale następnego dnia komunikat zdradza doświadczonemu czytelnikowi „między wierszami” załamanie się nadziei dowództwa niemieckiego na załatanie nadbużańskiej luki we froncie.

„W rejonie walk na zachód od Kowla (oczywiście, można by także określać „na zachód od Kijowa” — Z. S.) bolszewicy po ciężkich walkach koło Chełma, przeci-snęli się aż do rejonu Lublina. Ponieważ zaś nasze dywizje stawily im tam naj-zaciętszy opór, częścią sił i związkami zmotoryzowanymi przebijają się dalej na północny wschód...”

Jednak 26 lipca uznano widać za wskazane nie bawić się w ciuciubabkę z prawdą. Ba — tego dnia ukazuje się w organie Greisera własny komentarz (pisany w Berlinie) zapo-wiadający możliwość ofensywnych działań radzieckich aż po Wisłę.

„Wrogę całkowicie zdradził swoje cele na odcinku walk pomiędzy Karpatami, a Brześciem Litewskim. Jego poszczegól-ne posunięcia ujawniają zamiar zaatakowania bardzo szerokim frontem, liczącym bądź co bądź kilkaset kilometrów, linii Wisły...”

★

26 lipca wybucha panika wśród Niemców osiedlonych we wschodnich powiatach Wartheagu (włączono do niego również część województwa łódzkiego). W Brzezinach, przemianowanych w „Loewenstadt” (miasto lwów), kolonizatorskie „lwy” ładują się na wozy. Musi interweniować sam Greiser. Próżno tłumaczy, że „zgodnie z wolą fuehrera stopa bolszewicka nie stanie na terytorium Wartheagu”. Dopiero groźby poma-

Dokończenie na str. 2

Głos tygodnia
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 404 27 VII 1969 Rok IX

Jest ich ponad dwa tysiące. Przybyli i wciąż jeszcze przybywają z różnych stron i z różnych środowisk. Przeciętnie po 60-70 w ciągu miesiąca. Miejsce poprzedniej pracy: Chorzowska Wytwórnia Konstrukcji Stalowych, ZREMB — Jelenia Góra, Fabryka Obrabia-rek w Kuźni Raciborskiej, Stocznia Szczecińska, Huta „Jedność” w Sie-mianowicach... Specjalność: technik mechanik, technik odlewnik, for-

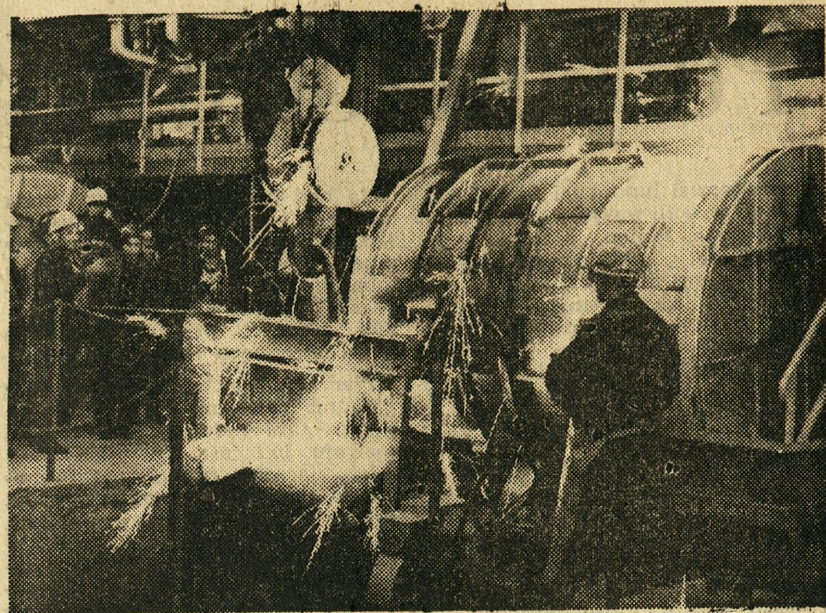
Bogna Wojciechowska

Awanse żeliwem pisane

mierz, spawacz. Ci ze Śląska przy-chodzą dla powietrza i dla mieszka-nia. W blokach odlewniczych osie-dla na Jezioranach mieszka już 1200 ludzi. W początkach lipca o-trzymało klucze dalszych 120 ro-dzin. Ostatnim przybyłem ze Ślą-ska jest Mieczysław Omasta, dotych-czas mistrz odlewni huty „Zabrze”. Obok nich: traktorzysta z kółka rol-niczego w Kunowie, z RSP Psarskiej, Podręckie, Baszków. A dalej — fryzjer, piekarz, cukiernik, nawet niedoszły kelner, który uciekł z oj-cowskiego zakładu. Niektórzy, jak np. J. Praczyk, tkacz z zawodu, wra-cają po prostu w rodzinne strony.

Pierwsi przyszli inżynierowie i technicy. Wśród nich — inż. Henryk Kłodaś, obecnie dyrektor naczelny śremskiej Odlewni. Wtedy właści-wie odlewni jeszcze nie było, a o-becny dyrektor był jednocześnie mi-strzem, brygadzystą i inżynierem. Pierwszą jego pracą w Odlewni, to naprawa starych wagonów potrze-bnych do przewozu maszyn. Zlecił ją Józefowi Rogackiemu. Ten popa-trzył na wagony, pomedytował, a po godzinie przyszedł do głównego inżyniera: „Zrobić można, czemu nie, ale gwoździ nie ma, młotka nie ma, desek... Deski są. Mało to skrzyń się tu wala?”

Uczniowie kończyli przyzakłado-wą szkołę zawodową. 37 absolwen-tów ze specjalnością formierz-od-lewnik wyjechało w sierpniu 1966 r. na staż do Stoczni Gdańskiej. PAFA WAG-u. Nowej Soli, Kuźni Racibor-skiej, Poręby. Pochodzili ze wsi śremskiej lub z małego miasteczka. Po raz pierwszy zetknęli się z prze-mysłem, po raz pierwszy wyrwali spod ojcowskiej opieki. Większość poza swoje środowisko nigdy dotąd



Niektórych ogarnęło przerażenie na widok gwiazdek tryskających z lewanego do kadzi żeliwa.

nie wychynęła. Niektórym swoboda uderzyła do głowy, inni powoli wra-stali. Czuwali nad nimi starsi kole-dzy, absolwenci techników.

Zdzisław Drgas opiekował się chłopcami w Nowej Soli. Utworzy-li tam koło śremskie przy ZMS, ko-rzystali z Zakładowego Domu Kul-tury. Powoli pojawiać się u nich za-czły nawyki wielkomiejskie, jak na przykład przebieganie się po pra-cy w lepsze ubranie, jak spędzanie wolnego czasu nie tylko przy kie-liszku. Niezbyt chętnie wracali po dwuletnim stażu do Sremu. Trud-niejsze tu warunki pracy, brak roz-rywki, dojazdy autobusem do do-mu, często konieczność udzielania ojcu pomocy w gospodarstwie. W za-pomnienie odchodzą przywiezione nawyki. Na piwo można skoczyć i w roboczym kombinezonie...

Hotel robotniczy posiada dwuosobowe pokoiki, pomieszczenia na ku-chenki gazowe i umywalnie, nie ma natomiast miejsca na spotkania to-warzystkie. Klub „Tygielek” prze-zwany został przez niektórych myśla-norką, taki jest mały. W Radzie Za-kladowej nieśmiało wspominają o domu socjalnym. Podobno w 1970 r. mają go budować. A tymczasem nie ma nawet sali na zebranie...

Robotnicy, którzy przybyli z du-żych fabryk, znają swe miejsce w zakładzie. Swoje prawa i obowiązki. Młodzi, którzy o większy zakład tylko się otarli, znają lepiej prawa niż obowiązki. O tych pierwszych mówiono im przy każdej okazji, o drugich wspominano rzadziej. Dla-tego nieraz popadają w konflikty. Są także inni, nowo przybyli, nie wykwalifikowani, obcy wielkiemu przemysłowi. Wprawdzie kierownik lub brygadzysta usiłuje w krótkich słowach wprowadzić w sprawę za-kładu, wyjaśnia, jak drogie są ma-szyny i jak trzeba się z nimi obcho-dzić, wprowadzić koledzy informują, że to i tamto można w Radzie Za-kladowej załatwić, ale nie zawsze to wystarcza. Większość z nich w chwili angażowania się nie bardzo wie, jaka praca ich czeka. Potem po jawia się przerażenie, rozczarowanie. W księdze ludzkich ubytków moż-na spotkać taką motywację: za ma-ło płacą, za duże tempo, szkoda zdrowia, pomyliłem się. Tym bar-dziej, że spora liczba ludzi po raz pierwszy styka się z mechanizacją tego typu jak w Odlewni, z nienew-nością podchodzi do urządzeń, łat-wo ulega wypadkom.

Łamią się charaktery. Na jednym z oddziałów już czterokrotnie zmie-niał się kierownik. Dwaj awansowali, trzeci zrezygnował. Był przedtem majstrem, podlegało mu 25 ludzi, do których należało tylko formowanie i składanie rdzeni. Tu trzeba było dopilnować wszystkiego, począwszy od masy, przez wykonanie formy i rdzenia, aż po jego oczyszczenie. Trzeba było kierować 70 ludźmi, nie nawiązywać do pracy w dużym zakładzie, nie posiadającym wyro-bionej dyscypliny pracy.

Chce zrezygnować po dwuletniej pracy w Odlewni Janusz Pietrzak. Przyszedł z Gorzowa, z Zakładów Mechanicznych. Zakład był duży, o określonym profilu produkcji, za-trudniał około 25 tys. ludzi. Do Sremu sprowadziło go mieszkanie. Objął stanowisko starszego mistrza, powierzono mu rozruch odlewni eksperymentalno-szkoleniowej W-3. 38 ludzi, część po szkole przyzakła-

dowej, część z okolicznych wiosek. Z początku prowadzili roboty por-ządkowe po montażu. Potem nastą-pił moment kulminacyjny: pierw-szy odlew. Niektórych ogarnęło przerażenie na widok gwiazdek try-skających z wylewanego do kadzi żeliwa. Niektórzy nawet odeszli. Sam Pietrzak przeszedł na W-4, gdzie znowu trzeba wszystko zacząć na od początku.

Z jego opowieści o Odlewni prze-bija pasja i zaangażowanie. Trudno uwierzyć, że chce odejść. Trudno powstrzymać pytanie: dlaczego? W odpowiedzi — inne pytanie: — Czy pani wie, co tu znaczy poniedziałek? Człowiek ze strachu całą noc nie śpi, tylko rozmyśla: przyjdą ju-tro wszyscy, czy nie? Czasem brako-wowało po 18 ludzi. A stanowiska trzeba obsadzić, tego przesunąć tu, tamtego tam, a na dodatek pamię-tać, że opuszczenie przez tego pierw-szego stanowisko na drugiej zmia-nie musi być obsadzone... I tak bez przerwy. Ostatnio chłopak wyjechał na niedzielę i nie wrócił, a po trzech dniach napisał, że spotkał kolegę w Kiekrzu i razem będą obsługiwać turystów...

Nie jeden tylko Pietrzak boryka się z tymi trudnościami. Legendar-na na oddziałach postacią jest Wacuś Sosnowski — „artysta”. Swego czasu pojechał do Manieczek, a tam właśnie kręcili film i potrzebowali statystę. A że Wacuś to chłopak przystojny, zaangażowali go. Zakład go szukał, w domu mówił, że jest na urlopie. Teraz jest w wojsku, a koledzy tworzą jego legendę. Na o-gół jednak przyczyny nieobecności są bardziej prozaiczne. Sprawy ro-dzinne, a nade wszystko pole i in-wentarz. Chłopski nawyk, nakazu-jący pracę regulować nie zarządze-niami, a potrzebami ziemi. W Ra-dzie Zakładowej raz po raz padają wyjaśnienia: trza było siano sko-sić... ojciec zagonił do roboty... siostry nie było, a inwentarz trzeba o-przątnąć... Nie jeden na wiosnę od-chodzi, by wrócić jesienią, na „prze-zimowanie”.

— Najgorszy jest poniedziałek — powtarza Janusz Pietrzak. Jak już przyjdą w poniedziałek, to potem ro-bią do końca tygodnia. I robią do-brze. Nienawykli do takiej sytuacji chce przeniesić się do zakładu o sta-rych tradycjach. Ale pod koniec roz-mowy prosi: niech pani źle o nich nie pisze. Nie mają „wielkiej geby”, robotne z nich chłopaki, tylko żeby się nauczyli, że fabryka to nie ich gospodarstwo i pracować trzeba nie według własnego widzimisie. I o tym moim zwolnieniu niech też pani nie pisze. Nieraz jest tak ciężko, że czoło wiek chce uciekać, ale tak napraw-de, to żal odchodzić...

Poszukiwacze łatwego chleba nie zatrzymują się w Odlewni długo. Wy-pęda ich tempo pracy. Inni próbują pogodzić nawyki drobnego właścicie-la ziemi z postawą fabrycznego ro-botnika. Dla nich i dla kierującej ni-mi kadry jest to okres ciężki. Ła-mią się i kształtują charaktery, ro-dzą nowe postawy. Idzie to wolno, opornie, nie bez konfliktów. Nieraz kogoś nerwy zawiodą, nawymyśla nie nawiązkę do pracy w fabryce człowiekowi, a ten czapkę wkłada na głowę i obrażony odchodzi. Ale częściej już okrzepła, związała się z Od-lewnią, traktuje ją jako nieodzowny element nie tylko śremskiego kraj-obrazu, ale i własnego życia. Niektó-rzy mówią, że Srem leży pod Jezio-ranami.

Michał Białokoz

Wspomnienia lekarza z Powstania

Nie znalazłem żadnych mate-riałów, w których stwier-dzałoby się istnienie jakich-kolwiek rozkazów Szefów Sanitarnych AK poszcze-gólnych Obwodów, dotyczących ilo-sci, charakteru, lokalizacji, zadań wyposażenia i obsady osobowej, ilo-sciowej i jakościowej, placówek „Wojskowej Służby Zdrowia” na wy-padek powstania.

Przestarzały, nieaktualny plan Pow-stania Warszawskiego — być może — liczył na istnienie stałe duże szpi-tale w obrębie miasta. Nie postarano się go nawet w ostatniej chwili zmo-dyfikować.

Pełne niczym nieusprawiedliwio-nego optymizmu założenia tego planu nie przewidywały potwornej walki barykadowej w mieście, rozczłonko-wanym na poszczególnie odcinki przez niemieckie siły wojskowe.

Niesłychana lekkomyślność kierow-nictwa w Londynie i dowództwa AK w Warszawie, zaprawiona kawale-ryjskim „tramtadractwem” i niena-wiścią do PKWN oraz Związku Ra-dzieckiego — widziały, być może, wyzwolenie i oczyszczenie Warszawy z niemieckich sił zbrojnych przez róż-ną mgłą szarzy szwoleżerów pod Samosierrą.

Sytuacja opisywana wielokrotnie w obfitej już dziś literaturze, posta-

Dr Michał Białokoz, lekarz medy-cyny, uczestniczył w kampanii wrześ-niowej 1939 roku jako obrońca War-szawy, a ściślej — komendant wysu-niętego punktu opatrunkowego. W okresie okupacji był ordynariuszem Szpitala Ujazdowskiego w Warsza-wie, potem prymariuszem sanato-rium przeciwgruźliczego ZUS w Ko-bierzynie koło Krakowa, a nastep-nie znów ordynatorem Szpitala Uja-zdowskiego i sanatorium ZUS w Ot-woku. Od wybuchu Powstania War-szawskiego to znaczy od 1 sierpnia 1944 roku był komendantem szpi-tala przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 i komendantem punktu opa-trunkowego przy ul. Wilczej 29a. Po upadku Powstania został szefem ewakuacji szpitali warszawskich.

Niżej drukujemy fragmenty wspo-mnień dr M. Białokoza. Sądzimy, że zainteresują one naszych Czytelników bowiem dotyczą mało zna-nych szczegółów Powstania, faktów oglądanych oczyma lekarza.

wiła służbę zdrowia przed faktem do konanym i warunkami, na które trze-ba było odpowiedzieć natychmiasto-wym refleksem i konsekwentnym działaniem. Nie przewidziano braku wody, światła elektrycznego, mate-

riałów opatrunkowych, leków i żywno-sci.

W takim stanie sprawy trudno po-wstrzymać się od podziwu nad szyb-kością utworzenia, dynamizmem, roz-wojem i niezmordowaną działalno-scią placówek służby zdrowia na te-renie Warszawa — Śródmieście przez cały czas trwania walk i po kapitu-lacji — aż do chwili ewakuacji ostat-nich szpitali, rannych i chorych z mia-sta.

Wysoko wyrobiona dyscyplina za-wodowa i społeczna, patriotyzm, zdol-ności organizacyjne szeregu lekarzy, pielęgniarek i personelu administ-racyjnego i fizycznego „wyczarowała” niemal nagle improwizowane jedno-stki sanitarne.

Zostaliśmy „detaszowani”, a wła-sciwie sami „detaszowaliśmy się” we-dług potrzeb i własnych koncepcji, dostosowanych do lokalnych sytuacji. Pewne jest, że działania wojenne Powstania miały od pierwszej chwili maksymalne, jak na panujące warun-ki, zaplecze sanitarne. Było to wy-raźnie zaplecze cywilne, noszące tu i ówdzie dla okraszy sztyl wojskowskie.

Dlatego też rozgraniczanie funk-cjonalne służby zdrowia, działającej w dzielnicach, na wojskową i cywilną, jest pozbawione jakiegokolwiek me-rytorycznych podstaw.

Dokończenie na str. 2

Po powrocie z Księżyca

Pierwsi lunonauści szczęśliwie wrócili z wyprawy na Księżyc. Miliony ludzi na świecie pozostają pod wrażeniem tego niezwykłego wydarzenia. Podziwialiśmy — zgromadzeni przy radioodbiornikach i telewizorach — ich męstwo, determinację z jaką w najbardziej dramatycznych sytuacjach przejmowali ster w swoje ręce, wyprowadzając siebie i statek z nieprzewidywanych w programie lotu groźnych sytuacji.

Jeszcze za wcześnie na ocenę, co ów księżycowy lot dał nauce — i w jakim stopniu wzbogacił naszą wiedzę o Księżycu. Symboliczne przeniesienie na Ziemię próbek księżycowego gruntu może posłużyć do zdobycia rewelacyjnych informacji o materii Srebrnego Globu. Ewolucja księżycowej materii postępowała przeciw odmiennie od ziemskiej, wywierała na nią wpływ odmiennie czynniki. Kwarantanna, której poddane zostaną zarówno próbki księżycowego gruntu, jak i ludzie, którzy się z nim zetknęli, świadczy o obawach uczonych przed ewentualnością nieznanego zagrożenia ze strony drobnoustrojów, które — być może — istnieją na Księżycu.

Realizatorem programu „Apollo” zarzucano pośpiech, z jakim wysłał ludzi na Księżyc — nie przygotowałszy tego lotu do końca, choćby przez uprzednie wysłanie automatycznej aparatury ze zwierzętami. Mają oni na swoje usprawiedliwienie to, że księżycowy spacer Armstronga i Aldrina został poprzedzony wieloletnimi doświadczeniami i próbami. O tym, że wyprawa człowieka na Księżyc ma się odbyć przed 1970 r., zdecydował prezydent Kennedy po pionierskim locie Gagarina. W ciągu tych lat praco-

wała nad programem lotów armia uczonych i techników w ok. 200 instytucjach i ponad 20 000 zakładów przemysłowych. Pociągło to za sobą ogromne koszty — ale ta mobilizacja myśli naukowej i osiągnięcie techniki przyczyniła się do wszechstronnego rozwoju nauki.

Pierwszy krok człowieka na Księżycu ma znaczenie symboliczne — i jako taki przejdzie do historii rozwoju ludzkości. A jakie może mieć znaczenie praktyczne? Poznanie nieznanych dotychczas zjawisk rozszerzy nasz horyzont myślowy. Największą wartość wyprawy „Apollo” polega na możliwości konfrontacji tego, co wiemy o Księżycu, z bezpośrednimi doznaniem, na konfrontacji naszej teoretycznej wiedzy o materii z informacjami o obecnej materii z innego ciała niebieskiego.

Co dalej? Twórcy programu „Apollo” zapowiadają jego dalszą kontynuację: w listopadzie br. „Apollo — 12” wyniesie nowy lądownik LM, który ma osiąść na Oceanie Burz, w pobliżu Krateru Kopernika. W roku przyszłym „Apollo — 13” ma osiągnąć okolice Krateru Fra Mauro, w dalszych wyprawach lunonauści mają lądować w pobliżu Krateru Tycho, w dolinie Schroetera nad szczeliną Hyginus — chyba załódże statek „Apollo — 20” przypadnie lądować we wnętrzu Krateru Kopernika.

Trwa dyskusja nad przydatnością statków typu „Apollo” do dalszych badań Księżyca. Zarzuca się im, że lądownik LM, ze względu na ograniczoną powierzchnię, ma zbyt szczerpie możliwości zastosowań w badaniach naukowych.

Na przyszłość bowiem chodzi już nie o symboliczne postawienie sto-

py na Księżycu i pobranie próbek z jakiegoś jego punktu, ale o systematyczne badania, oparte o aparaty ustawione na powierzchni Księżyca, a inspirowane przez człowieka. Plan badań księżycowych zakłada powstanie Międzynarodowego Laboratorium Księżycowego (projekt datuje się od 1964 r. czyli od warszawskiego Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego). Wymaga to jednak zbudowania potężnych statków, zdolnych do przewożenia na Księżyc wielotonowych ładunków — nadających się do kilkakrotnego wykorzystania. Rakiet, nad którymi pracują uczeni w ZSRR i w USA, mają mieć siłę ciągu rzędu 7500 t.

Aparaty ustawione na Księżycu dostarczą danych o znikomym magnetyzmie i jego zmianach w pobliżu Księżyca, o własnościach jonosfery Srebrnego Globu, o źródłach ciepła w jego wnętrzu i in. Badania bezpośrednie Księżyca umożliwią dokonanie porównań z odpowiednim materiałem na Ziemi, co posunie naprzód naszą wiedzę o rozwoju materii. Jeśli ta księżycowa będzie się różnić od ziemskiej uzyskamy nowe rewelacyjne informacje o tworzeniu, z jakiego zbudowane są inne światy. Być może będzie to ponowne odkrycie Księżyca.

W. K.

Barbara Grzegorzewska

Domorosły geniusz

Pan X zwrócił się do mnie z zapytaniem.

— Słyszała pani o Grigorim Gagarinie?

— O Jurim — protestuję.

— O Grigorim! — powtarza.

— ?

Pan X uśmiecha się z politowaniem.

— Co pani wie o Dominiku Mo-

szce?

Pierwszy raz słyszę. Nic nie wiem. Pan X pełen wyższości czeka jeszcze przez moment delektując się własną wiedzą i moim dyletantstwem. Po czym wyjaśnia, że Grigorij Gagarin był dyplomatą, malarzem i historykiem sztuki, a Dominik Montusko majorem w wojsku napoleońskim. Wstawił się rozparcelowaniem majątku na rzecz chłopów, zakładał szkoły.

— Skończyła pani studia humanistyczne i nie wie? — kiwa współczująco głową. — Dno! Czego was uczyli?

Nie oponuję. Pan X, od czasu jak poproszono go, aby zabrał swoje dokumenty, kolejno z poszczególnych dziekanatów, ma jak najgorsze wyobrażenie o studiach uniwersyteckich. Twierdzi, że jego inteligencja wykraczała poza ramy UAM. Biedaczek, nikt się na nim nie poznał. Urosł mu już brzuszek i genialna głowa połysiała, ale nie zdobył żadnego zawodu, nie podjął żadnej pracy. Chodzi do biblioteki, łowi mało znane drobiazgi z pamiętników, by zadawać pytania podobne do tych,

którymi mnie uczużył. Zasypuje redakcję i wydawnictwa rękopisami. Najgorsze, że to, co mogłoby być jako hobby, traktuje niby życiowe zadanie. Zapytany, dlaczego nie pracuje, oburzył się.

— Ja?! Zresztą z kim tu pracować? Dla kogo?

Pan X nie ma dobrego zdania o ludziach zajmujących stanowiska. Wszyscy są idiotami i karierowiczami. On jeden mógłby kierować instytucjami kulturalnymi. Jeszcze go poproszą! Chociaż, prawdę mówiąc, twórcy nie powinni pracować. Co stworzył? Jeszcze nic, ale ma przekonanie, że zrobi coś genialnego.

Zastanawiam się, z czego żyje pan X i jemu podobni, których od czasu do czasu jeszcze się spotyka. Kto ich utrzymuje? Rodzina?

Rozżalony, pokrzywdzony pan X, ma pretensje do wszystkich. Niczego nie umie naprawdę, ale wszystko wie lepiej, mówi autorytatywnie. Kiedy raczy nas kolejną przypowieścią, jest przekonany o własnej błyskotliwości. Kto mu powie, że jest życiowym wrakiem? Z uporem mania wierzy w swoją wielkość i kreuje się na intelektualistę. Czy nigdy nie zrozumie, że jego fragmentaryczna wiedza przyda się najwyżej do rozwijania krzyżówek?

Kiedys mógłby zabawiać gości w salonach. Ale salonów już nie ma i nie ma profesji salonowca. Takie czasy, trzeba mieć konkretną wiedzę i konkretny zawód.

Wspomnienia lekarza z Powstania

Dokończenie ze str. 1

Szpitala i punkty opatrunkowo-ambulatoryjne przyjmowały bez żadnej różnicy „żołnierzy” i ludność cywilną.

★

Godzina „W” była mi wiadoma jeszcze przed południem dnia 1 VIII 1944 r. Znajdowaliśmy się wówczas razem z dr Apolonią Karaś-Brzozowską przy ul. Wilczej 29a i poczyniliśmy — „na wszelki wypadek” — przygotowania punktu opatrunkowo-ambulatoryjnego na parterze tego domu w gabinecie kosmetycznym. Lokal był odpowiedni, lokalizacja w pobliżu rogu ul. Wilczej i Marszałkowskiej wydawała się stosowna.

Wieczorem, już po wybuchu powstania, wyraziłem przekonanie, że skoro wyszedłem cało z obrony Warszawy w 1939 r. — to niepodobnie jest, abym wyniósł cało głowę z obecných walk, „bo przecież jakis porządek musi być! — non bis in idem” (nie może być dwa razy jednako).

Zresztą oboje z dr Karaś-Brzozowską nie baliliśmy się śmierci. Byliśmy na nią przygotowani, bo od razu zdawaliśmy sobie sprawę z sytuacji. Tym bardziej mobilizowało to nas do wypełnienia swojego zawodowego, ludzkiego i patriotycznego obowiązku — opieki lekarskiej nad ofiarami działań wojennych i chorymi.

2. VIII. 1944 r. od godziny 8 rano punkt opatrunkowo-ambulatoryjny rozpoczął swoją działalność.

Od ul. Marszałkowskiej bliź z działą czołg wzdłuż ul. Wilczej, oparty o

barykadę, której nie był w stanie sforsować.

Objąłem kierownictwo, pracując wspólnie z dr Karaś-Brzozowską przy zakładaniu opatrunków i niesieniu pomocy lekarskiej niechirurgicznej w zakresie medycyny ogólnej. Asystowała nam jako pielęgniarka P. Muszanka, wykazująca dużą zręczność i inicjatywę. Ukończyła kursy sanitarne PCK jako siła pomocnicza i była na owe warunki doskonale fachowcem.

W ciągu dnia 2. VIII. 1944 r. czołg niemiecki został unieszkodliwiony. Zapanowała krótkotrwała względna cisza.

W pierwszych dniach Powstania dawał mi odczuć na terenie dzielnicy entuzjazm patriotyczny. Wywieszono flagi biało-czerwone, z otwartych okien dołatywały pieśni patriotyczne i wojskowe. 2 sierpnia po południu usłyszeliśmy przez otwarte okna dźwięki Poloneza As-dur Chopina. Powiedziano nam, że to gra pianista — Kędra.

3 sierpnia zaostrzyły się działania wojenne. Rozpoczął się regularny ostrzał dzielnicy. Zaczeli działać „gołębiarze” — Niemcy ukryci na dachach z precyzyjną bronią wyborową strzelców. Rozpoczęły się bombardowania pociskami zapalającymi wybuchowymi przez wyrzutnie rakietowe, zwane przez ludność „krowy” lub „szafy”.

Pracy było dużo. Od rana do wieczora i często w nocy. Wizytowaliśmy również wielu chorych w ich mieszkaniach na wezwanie. Przy organizowaniu punktu wydzieliśmy dużą piwnicę, którą przygotowaliśmy i zaopatrzyliśmy jako ambulatorium

podziemne, na wypadek konieczności.

Wreszcie udało nam się zdobyć aparat do wytwarzania i dopełniania odmy sztucznej opłucnej. Aparat ten dostała dla naszej placówki dr Karaś-Brzozowska od dr Wity z Poznania, który urzędował nieopodal. Spotkała go przypadkowo i w toku rozmowy dr Wiza zaproponował ofiarowanie wymienionego aparatu, co też zostało prawie zaraz dokonane.

Zaczęliśmy zatem pracować również w naszej specjalności, tj. pulmonologii. Znalazło się dość dużo chorych na gruźlicę płuc, a wśród nich wielu leczonych odmienną opłucną i paru odmienną brzuszną.

Chorych trzeba było prowadzić częściowo przez piwnice, częściowo przez ulice ostrzeliwane wzdłuż i wszerz oraz pociskami artyleryjskimi i miotaczami min — „krowami”, kryjąc się za osłonne barykady. Nie było to proste.

Wzmocnienie siły ognia miotaczy min i ciężkiej kolejowej artylerii w końcu sierpnia 1944 r. nie pozwalało na wytrzymanie. Jeden pocisk artyleryjski burzył cały, nawet sześciopiętrowy dom od dachu do piwnicy. Wzwań do chorego pod określony adres — przybywszy zastaliśmy na miejscu domu stos gruzów, pod którymi zginęli wszyscy mieszkańcy. Czasami zdarzały się dziwne zbiegi okoliczności. Otóż pewnego razu przy ul. Wilczej, na samym szczycie potworka kurhanu gruzów zawalonego sześciopiętrowego domu, zastaliśmy siedzącego, oszołomionego średnich lat mężczyznę.

Po opatrzeniu mu rany twarzy, wyznał nam, że wieszak wypraną bieliznę na strychu i sam nie wie jak się znalazł na kopcu gruzów.

MICHAŁ BIAŁOKOZ

ODWRÓT

Dokończenie ze str. 1

gają. Ale nie przekonują. Szpicle gestapo donoszą, że wśród powstrzymanych przemocą niemieckich „panów” mówi się iż oni „ani myślą, jak Gräser bawić się własną głową”.

Niemcy z Poznania też rozpoczynają uciekać. Wysyłają nagminnie do Niemiec bagaż z częściowym ubezpieczeniem do 10 tys. marek. Mnożą się przypadki likwidacji kont bankowych, wymeldowywania się, próby o zwolnienie z pracy w Poznaniu i przeniesienie do Niemiec ze względu na stan zdrowia, trudności aklimatyzacyjne.

Greiserowski szef propagandy Małul zmuszony jest nawet na łamach „Ostdeutscher Beobachter” pisać, że „tych, którzy się tu niegdyś zagrzeździł licząc na miód z mlekiem”, lecz „nie wytrzymując wiatru ze wschodu”, teraz nagle wykazują namietność do rozkładu jazdy, nagle nie służą im tutejsze powietrze, wleczą się po dworcach, wciąż mierzą odległości (od linii frontu), obciążają kolej przesykami frachtowymi, jeszcze dziś pod byle pozorem chcieliby wystać fortepian do Tuebingen”.

Zarazem jednak „Ostdeutscher Beobachter” nie może przemielić chełmskiego 22 lipca. Co prawda pre parując wiadomość o powstaniu PKWN tak jak uważają to za wskazane Goebbels i Maul.

„Można się było spodziewać, że przy obecnej dokonującej się zmianie jeśli chodzi o posiadanie niegdyś polskich ziem, Moskwa nie omieszką zagrać w sprawie polskiej kartami jej dogodnymi. To się też stało... Właśnie powstał w Chełmie „Komitet Wyzwolenia”, którego charakter został osłonięty „narodowym” płaszczykiem... Ale na czele jego stoi osławiona Wasilewska... ponadto wchodzi w jego skład bezprawnie mianowany „se neralne” dywizji” pułkownik Berling i ponownie wygłaszający z za horyzontu mi tyczny generał „Rola”, o którym przypadkowo dowiadujemy się, że kiedyś używał nazwiska Zelenki (rzecz jasna, cho dzi o Rolę Zymierskiego — dop. Z. S.), a którego mianowano „naczelnym wodzem zjednoczonych armii polskich”... Nowy polski Sowiet zupełnie bezcelowo wydał jako „rząd” dekret o administracji cywilnej w zajętych już przez Rosjan ziemiach byłej Polski”.

Tyle donosił „Ostdeutscher” 25 lipca. Ale 29 lipca, starając się udowodnić jak to „Komitet Wyzwolenia” jest tylko cywilną administracją Armii Radzieckiej, podał fakt, którego kolportaż został uznany przez Greisera jako poważny błąd.

„Rzekomo polski Sowiet ma działać w oparciu o demokratyczną konstytucję polską z 1921 roku, natomiast „totalitarna” konstytucja z 1935 roku, na której opierała się londyńska emigracja polska, ma być odrzucona, ponieważ zdaniem „Wyzwoleńców” (jako że „Komitet Wyzwolenia” — Z. S.) nigdy nie została akceptowana przez masy narodu polskiego”.

Greiser miał rację. Ujawnienie polskim czytelnikom demokratycznej podstawy odradzającej się za Wisłą państwowości polskiej, było poważnym błędem.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Przeglądamy Prasę

WOKÓŁ LOTU NA KSIĘŻYC

O tym wielkim wydarzeniu piszą na czołowych miejscach liczne tygodniki. Na łamach „Kultury” wypowiadają się wokół spraw związanych z lotem na Księżyc prof. dr H. Greniewski, prof. dr J. Hryniewicz, prof. dr M. Mazur i doc. dr J. Reykowski.

M. Mazur na pytanie: „Czy istnieje u człowieka jakiś próg przyswajania informacji ograniczający postęp?” — odpowiada m. in.:

„Uczenie się jest procesem pociągającym za sobą koszty, których głównym składnikiem jest utrzymanie człowieka wyłącznie uczącego się. Koszty te muszą następnie co najmniej zwrócić w okresie wykorzystywania przyswojonych

informacji w postaci pracy dla społeczeństwa (...). Dopóki na zdobycie wykształcenia niższego i średniego wystarczało 11 lat nauki, a na zdobycie wykształcenia wyższego 4 lata, wykształcony człowiek mógł rozpocząć życie zawodowe w 22 roku życia (...). Postęp jednak zwiększa konieczny zasób informacji, a to spowodowało wydłużenie czasu nauki: nauka niższego i średniego do 12 lat, wyższego zaś do 6 lat (...). Zmartwienie polega na tym, że temu ciąglemu oddalaniu się początku samodzielnego życia ludzi wykształconych wcale nie towarzyszy przesuwanie się okresu największych sił życiowych człowieka. Przeciwnie. Obserwuje się raczej przyspieszenie dojrzewania seksualnego (...). Sprawa (...) wymaga gruntownych reform szkolnictwa, ale to już zbyt obszerny temat, aby go tutaj omawiać. Jedno jest pewne: sprawa jest o wiele niłniejsza i groźniejsza, niż zdają się sądzić rządzący we wszystkich krajach. Wracając do głównego pytania: ludzka przyswajalność informacji jest ograniczona, ale jeszcze większe ograniczenie stanowi niechęć do oswajania przyswajaniu informacji zbyt dużej części życia (...). Istnieje przyswajalność informacji użytecznej i bezużytecznej (...), aby wiedzieć, trzeba przede wszystkim wiedzieć, co wiedzieć”. Dalej autor krytykuje popularyzowanie przez telewizję organizującą róż-

nego rodzaju teleturnieje tzw. wiedzy encyklopedycznej jako czegoś, co ma imponować widzom. Jakby nie po to — pisze — wynaleziono atlasy i encyklopedie, aby inteligentny człowiek sięgał po nie w razie potrzeby, a wyrobił sobie przede wszystkim umiejętność kojarzenia faktów i wnioskowania.

H. Greniewski odpowiada na pytanie, czy możliwe jest porozumienie się ludzi z nie — ludźmi inteligentnymi?

„W dniach pierwszej w dziejach ludzkości wyprawy na Księżyc nadal nie wie my, czy istnieje w Kosmosie choć jeden gatunek istot inteligentnych poza nami (...) A może jednak spotkamy się kiedyś z pozaziemskim Rozmówcą, czy w tym przypadku potrafimy nawiązać obustronną łączność? W ciśnieńki (na tle Kosmosu) naszej pracownice naukowej t. Ziemi, nauczyliśmy się coś nie, gdy chodzi o problematykę łączności międzygatkowej (...). To, co w tym zakresie umiemy, zawdzięczamy głównie dwóm rodzajom przedmiotów eksperymentu: zwierzętom (zoopsychologia) i nowoczesnym maszynom matematycznym. Nawiazanie obustronnej łączności międzygatkowej wymaga choć jednej z obu ewentualności: Ja uczyć jego mojego kodu (w szczególności języka) lub ja uczyć się jego kodu”.

Dalej autor pisze o trudnościach, na jakie może natrafić porozumienie się z nie-ludźmi inteligentnymi.

J. Hryniewicz tak pisze:

„... podstawowe pytanie, które powinno mi zadać redakcja, powinno brzmieć: „Jaka będzie architektura na naszej starej Ziemi po zdobyciu Księżyca?” i nie tylko architektura, ale wszystko, co nas otacza! Czy zdobycie wielkiej pustyni księżycowej nie będzie wreszcie hasłem do zatrzymania dewastacji naszej Ziemi, wód i lasów. Czy tak dalekiego spojrzenia na naszą Ziemię z matego Księżyca nie wywoła w nas skrajne odręczenie. Czy ta wielka kula ziemską wscho dząca i zachodząca nad pustynią przestrzeni księżycową nie nasunie nam tych analogii, które zmuszą nas do zupełnie nowego przedstawienia naszego życia. Czy fantastyczna koordynacja techniki wiołżona w budowę pojazdów kosmicznych, nie może być skierowana także na rozwiązanie najtrudniejszych problemów, zmieniających stopniowo nasz glob w pustynię, na której znajdują się jak na Gobi tylko fantastyczne szkielety pozagryzanych potworów, które okazały się niezdolne do życia i współżycia w zmieniającej się przyrodzie. Pragnę wierzyć, że następstwem wyładowania ludzi na Księżycu nie będzie przeniesieniem nas z ziemskich obyczajów na powie-

chnię jej satelity, lecz spojrzenie na Ziemię z takiej odległości, z której wreszcie dla ludzkości będzie oczywiste to, co w świecie, a w szczególności na naszej Ziemi naprawdę najistotniejsze. Łatwiej mi jest wyobrazić, jaka powinna być architektura na Ziemi w czasach, gdy człowiek stawia stopy na księżycowym gruncie, niż myśleć o tym, jaką architekturę człowiek zabierze z Ziemi na Księżyc”.

Na temat wyprawy na Księżyc pisze też w „Kulturze” Tadeusz A. Jace wicz w artykule pt. „Ziemia — Księżyc — Ziemia”. Redakcja zamieszcza także inne pozycje na ten temat oraz fragment z książki Jerzego Żulawskiego pt. „Na srebrnym globie”. „Polityka” publikuje trzecią z kolei korespondencję własną z Houston, USA, płaora Alberta Moravii. Cykl korespondencji nosi tytuł „Wyprawa do martwego świata”. Obecnie drukowany odcinek — „Niebo przestało być święte”. „Życie Literackie” publikuje rozważania Zbigniewa Kwiatkowskiego pt. „Ucieczka czy wylot”.

Ponadto zwracamy uwagę na artykuły „Bramy więzień” Zygmunta Szeli w „Polityce” i „Amnestia” Kazimierza Kukawki w „Prawie i Życiu”.

LEKTOR